

Z amatorskich badań nad naturą i przyczynami bogactwa narodów

14 września 2014

Czy pamiętają państwo Feliksa Siemienasa? Był to jeden z bohaterów polskiej transformacji początków lat 1990. Dorobił się ogromnej fortuny, nosił garnitury od najlepszych krawców i jeździł limuzyną marki Rolls-Royce. Barwna postać, gawędziarz, dowcipniś – dziennikarze bardzo chętnie przeprowadzali z nim wywiady, w gazetach ukazywały się kolorowe zdjęcia i jego samego, i dowodów jego zamożności, takich jak limuzyna czy willa w rozmiarze średniej wielkości pałacu, a najcelniejsze sentencje biznesmena wytłuszczano i wrzucano na pierwsze strony. Spośród złotych myśli biznesmena zapadła mi w pamięć (na długo, jak widać!) jedna. Kiedy pytano Siemienasa, jak dorobił się wielkiego majątku, odpowiadał: „W Polsce jest tylko jeden niezawodny sposób na zarobienie grubej gotówki: kupić działkę jako rolną, a sprzedać jako budowlaną”.

Medialna kariera pana Feliksa zbiegła się akurat w czasie z prorynkową kampanią medialną mającą na celu przekucie postkomunistycznego roszczeniowego społeczeństwa w zbiór nowoczesnych prorynkowych jednostek. Przekonywano więc publiczność, że bogactwo narodów bierze się z zaradności i przedsiębiorczości jednostek, które motywowane żądzą zysku i bogactwa porywają się na twórcze przedsięwzięcia i społecznie pożyteczną działalność, organizują świat na nowo, wymyślają usprawnienia, dzięki którym potrzeby bliźnich są zaspokajane, a świat staje się coraz zasobniejszy i żyje się na nim lepiej. Czytałem więc pochwały przedsiębiorczości i zdrowej chciwości oraz wynurzenia człowieka obdarzonego tymi cechami i nic nie rozumiałem. W jaki sposób spekulacje ziemią (czy w ogóle jakiegokolwiek spekulacje) mogą przyczynić się do postępu lub zaspokojenia ludzkich potrzeb?

Oczywiście rozumiałem (i rozumiem), że są ludzie, którzy potrzebują działek budowlanych tam, gdzie do dyspozycji są tylko działki rolne. Rozumiałem, że powinno się im umożliwić negocjacje z odpowiednimi urzędami decydującymi o przeznaczeniu i klasyfikacji ziemi. Czy jednak wprowadzenie między potrzebujących a urząd takiego Feliksa Siemienasa (i jemu podobnych przedsiębiorczych jednostek) nie jest marnotrawstwem, czy nie powoduje zupełnie niepotrzebnego zubożenia i interesantów, i instytucji dobra wspólnego? Jakie dzięki takiej działalności powstają wartości, jakie wynalazki czy idee? Czy świat może stać się choćby odrobinę lepszy, bardziej przyjazny, piękniejszy, a jakakolwiek zbiorowość (naród chociażby) bogatsza dzięki temu, że Feliks Siemienas kupi działki rolne, a sprzedaje budowlane?

Przez jakiś czas śledziłem uważnie popularne w tamtych latach rankingi i zestawienia najzamożniejszych Polaków. Interesowało mnie, jak w praktyce działa ta zasada, o której tyle mówili publicyści, uczeni i ekonomiści, a która – jeśli jej nie przeszkadza – przynieść miała naszej umęczonej ojczyźnie bogactwo i szczęście. W jaki sposób chciwość (lub choćby chęć wzbogacenia się) i przedsiębiorczość jednostek miała się przekładać na powszechny dobrobyt i postęp. Owszem, widziałem i takie przypadki, które mogły mnie przekonać, że przedsiębiorcy zaspokajali ludzkie potrzeby: ktoś tam robił wędliny, ktoś miał fabrykę mebli, ktoś wydawał czasopisma – w każdym razie powstawało coś konkretnego, bez czego ludziom rzeczywiście żyłoby się chyba trochę gorzej. Rzadko jednak udawało mi się znaleźć wśród bogacących się biznesmenów ludzi, którzy stworzyli, upowszechnili czy wdrożyli do działania coś oryginalnego, jakieś idee, usprawnienia, produkty, których do tej pory nie było, a które posuwałyby świat do przodu i jakoś przyczyniały się do większego zadowolenia z życia.

Im więcej takich zestawień sobie po amatorsku analizowałem, tym silniejsze miałem wrażenie, że składają się one z postaci, które – trzymajmy się tej metafory – kupują działki rolne, a

sprzedają budowlane. W żaden sposób nie byłem i wciąż nie jestem w stanie pojąć, jaka może być korzyść dla wspólnego dobra chociażby z tego, że jakiś sprzedawca samochodów – podajmy taki fajny przykład sprzed lat – zakolegował się z decydentami i kiedy policja wymieniała polonezy i żuki na auta zachodnie, sprzedawał jej mnóstwo volkswagenów drożej niż kosztowały one w jego salonach. Czy dzięki jego przedsiębiorczości policja jeździ lepszymi samochodami? A gdyby nie on, to co, nie jeździłaby? Jaka byłaby szkoda dla policji, gdyby kupiła samochody taniej?

A dziś? Kto mi wyjaśni, jak przyczynia się do dobra wspólnego taki, powiedzmy, miliarder, pan Leszek Czarnecki, twórca Getin Banku i Open Finance? Instytucje te znane są ze sprzedawania produktów finansowych (takich jak polisolokaty) przez entuzjastycznych doradców finansowych, którzy zapominają wspomnieć klientom o takich drobiazgach, jak gigantyczne opłaty likwidacyjne czy odwołując się do ekonomicznej ezoteryki namawiają na finansowanie ich z kredytu. UOKiK nałożył za te praktyki na Getin Bank drobną karę finansową, lecz niewielka to pociecha dla pokrzywdzonych, którzy pikietują oddziały banków i nachodzą wszystkich świętych w nadziei na odzyskanie choć części „zainwestowanych” kapitałów.

Co do tego, że motywem powołania i istnienia tych instytucji jest – zgodnie z teoriami klasyków ekonomii – chciwość, nie mam najmniejszej wątpliwości, zwłaszcza kiedy słucham i czytam niekończące się świadectwa ich klientów. Lecz kto mi wyjaśni, w jaki sposób przyczyniają się one do powszechnego dobra i bogactwa narodu? Czy nie jest przypadkiem tak, że warunkiem istnienia i prosperowania takich instytucji – a więc i bogactwa jej właścicieli – jest niski poziom cywilizacyjny społeczności, w której działa? Czyli np. załamanie systemu opieki emerytalnej, brak zaufania do pomocy państwa i rodziny oraz powszechny strach przed nędzą na starość; zapaść wymiaru sprawiedliwości; niski poziom edukacji i wiedzy prawnej oraz finansowej; niski poziom wiedzy o manipulacjach

psychologicznych; wiara w możliwość działania mechanizmów finansowych typu „pożyczę na 12%, na polisie zarobię 20% i będę 7% do przodu. A skoro instytucja może prosperować najlepiej w środowisku zacofanym, dlaczego miałaby być zainteresowana jego rozwojem, postępem, którego owoce dostępne będą dla wszystkich? Czy dla własnego dobra nie powinna raczej dołożyć wszelkich starań, aby żaden postęp w tej społeczności się nie dokonywał?

Albo – różnica skali ogromna, ale przykład smakowity – jak się do dobra wspólnego i do bogactwa narodów przyłożył niejaki Kamil Cebulski? W wielu mediach przedstawiany jest on dziś jako wzór do naśladowania dla młodych ludzi, niegdyś nastoletni milioner, dziś założyciel uczelni będącej kuźnią kadr polskiego biznesu, wpajającej studentom ducha przedsiębiorczości i organizator warsztatów z przedsiębiorczości dla licealistów i gimnazjalistów. Kamil Cebulski pierwszego miliona dorobił się, kiedy dostęp do internetu był drogi. Wpadł mianowicie na genialny pomysł: nagrywał strony internetowe na płyty i sprzedawał po 29,90. Tak jest! Dziś w naszym kraju przedsiębiorczości uczy i podstawy przyszłego postępu wykuwa facet, który internet nagrywał na płyty i sprzedawał.

A słynny ostatnio Marek Falenta, który zanim wpadł na bardziej ekstrawaganckie sposoby pomnażania pieniędzy, dorobił się (podobno) pół miliarda, handlując długami szpitali? Znów mam wrażenie, że teoria niewidzialnej ręki rynku działa jakby połowicznie: widzę tu oczywiście chciwość i przedsiębiorczość, ale nie mogę zrozumieć, w jaki sposób przekładają się one na „bogactwo narodów”, które ma być przesłanką dla stwierdzenia, że „chciwość jest dobra”. Ostatnio przeczytałem, że pan Falenta obraził się na rodaków i na państwo za niedostateczny entuzjizm okazany jego kreatywnym i niekonwencjonalnym metodom prowadzenia interesów. Zapowiedział, że przejdzie na biznesową emeryturę, a ludzie, którzy u niego pracowali, pójdą na zasiłek.

No i sam nie wiem, czy to źle, czy może jednak dobrze. Obiegowa prawda mówi, że to, iż przedsiębiorca zatrudnia ludzi, jest dla społeczeństwa korzyścią niezaprzeczalną. A ja bym jednak chciał, żeby mi ktoś udowodnił, obliczył na papierze lub w pamięci komputera, że społeczny bilans korzyści i strat rzeczywiście jest dodatni. Bo nie jestem wcale pewien, czy jako społeczeństwo wyszlibyśmy na tym gorzej, gdybyśmy pracownikom wysłanych na emeryturę panów Siemienasa, Czarneckiego, Falenty, Cebulskiego i jeszcze wielu podobnych pań i panów zaczęli płacić zasiłek w wysokości ostatniego wynagrodzenia za to tylko, że nie będą robić tego, co robili do tej pory. Niech siedzą w domu i oglądają seriale, niech grają w gry komputerowe albo uprawiają turystykę, tylko niech nie sprzedają działek budowlanych, nie handlują długami, niech nie manipulują kursami akcji, niech nie obsługują dziwnych policyjnych zakupów, niech nie wciskają ludziom polisłokat. Niech nie uczą przedsiębiorczości poprzez opiewanie korzyści, jakie może przynieść sprzedawanie internetu na płytach. Może właśnie społeczeństwo wyszłoby lepiej na tym, gdyby w miarę wcześniej wyszukiwało takich panów (i panie), zrzucało się na ich wille z basenami, rolls-royce'y, rolexy i jachty. Niech się opalają, piją drinki z pałeczką, jedzą bliny z kawiozem, byleby nic nie robili. Niech mi to ktoś obliczy czarno na białym!

Autor: Jarosław Górski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Górski (ur. 1970) – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkaset artykułów publicystycznych i popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz” (o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.